



ORGAN STOWARZYSZENIA STUDENTÓW „SARMACJA”
W KYRYTYBIE.

Redaktor: Leszek Roguski.

Adres Redakcji: Kurytyba, Dezembargador Motta Nr. 81

Nowy okres.

—o—

Nowym okresem w rozwoju „Sarmaty” jest bezwątpienia wydawanie go już nie w skromnej szacie druku hektograficznego, lecz w dogodniejszej i lepiej przemawiającej do uczuć czytelników — jaką jest szata niniejszego numeru.

Po roku pracy, która nie zdołała jeszcze osiągnąć wytyczonego przez nas celu, bo nie wyrobiła i nie wzbudziła w Koleżankach i Kolegach umiłowania do tej działalności społecznej, tak ważnej w naszych warunkach, jaką jest prasa, przystępujemy do drukowania „Sarmaty” i nadania mu trwałych i silnych podstaw.

Po zrobieniu ścisłego i obiektywnego przeglądu prac zeszłorocznych, dojdziemy do przekonania, że chociaż nie były one monumentalnymi i nie celowały we wszystkich punktach, ale wytyczyły „Sarmacie” jasny i celowy kierunek. Był to okres przewycięzania niewprawną jeszcze ręką różnorodnych trudności, piętrzących się na naszej drodze, i dążeń do wzniesienia „Sarmaty” na odpowiedni stopień rozwoju, ażeby był w stanie zastąpić poniekąd brak bezpośredniej wymiany myśli między członkami Stow. Stud. „Sarmacja”.

Pierwszą naszą próbą było wydawanie „Sarmaty” miesięcznie. Prędko jednak, bo po wydaniu drugiego numeru, doszliśmy do przekonania, że nie zdołamy zrealizować tych zamierzeń. Brak odpowiedniej ilości współpracowników, a tem samem materiału — był główną przyczyną, która zmusiła nas do zrezygnowania z miesięcznika i nadania „Sarmacie” formy wolnej, niezależnej od obowiązującej punktualności w wydawaniu. Po takim załatwieniu sprawy danem nam było opracować jeszcze tylko dwa numery.

BIBLIOTECA
da Sociedade de Cristo
Curitiba PR

Cztery skromne numery — oto wynik pierwszego roku pracy!

Nie zniechęcając się porażką zeszłoroczną — znów nadajemy „Sarmacie” formę miesięcznika. Tym razem wierzymy jednak, że wynik będzie dodatni, bo zorganizowany już jest mały ale dobrany zastęp współpracowników, który zobowiązał się zasilać „Sarmatę” regularnie w artykuły i nowele.

Oprócz tego zwracamy się z gorącą prośbą do Koleżanek, Kolegów i wszystkich tych, których dążenia nasze zdołały zainteresować — o gorącą i szczerą współpracę. Współpraca ta polegać powinna na opracowywaniu artykułów lub nowel, związanych jaknajściślej z przejawami tutejszego życia, lub mających na celu stopień tego życia wznosić i uszlachetniać.

Dążeniem „Sarmaty” jest — skupienie młodzieży w jedno ognisko myśli i czynu dla wytyczenia dróg naszej teraźniejszej i przyszłej działalności na tutejszym terenie i nadania większej i mocniejszej treści naszemu życiu.

O czynne poparcie tych dążeń prosimy WAS wszystkich!

Leszek Roguski.

—O—

Ziuk.

Był i On kiedyś maleńkim i jak wszystkie dzieci
Miał czas, kiedy na czworakach pełzał przez próg,
I bał się ciemnego pokoju... Jak czas szybko leci!
Któż przypuszczał, czem maleńki będzie kiedyś Ziuk?...
Już gimnazjum... obca mowa, w sercu coś się pali,
W duszy budzi się słyszanych opowieści rój...
Ożyły okrucieństwa Prusaków i Moskali:
Żastygły wszystkie pragnienia w jedno: z nimi bój!
A potem, kiedy gołiło się już pierwsze wąsy,
Zaczął się przyszłych posunięć w duszy tworzyć plan.
Może wtedy i wkroczyły w serce czyjeś ponsy?
Lecz nie był im tam nadługo czas i zapal dan,
Cóż-że Sybir! — kto ma duszę mocarną i polską...
— Nierozzerwalną jest zemsty i krzywd ojców nić! —
Kto w pamięci ma rzeź gdańską i redutę wolską,
Ten już zawsze nieść przed sobą będzie buntu wić!...

Jak słodkim jest Mu niepokój i niepewność wroga,
Który czuje wokół siebie pomsty blizkiej krok...
Cóż! — do śmierci jest jedna ta lub tamta droga,
A od łoża jest nie gorszy cytadeli stok!...

.....

Hej, wolność! znów zaborcę otoczył przestrach blady,
Cóż, że na głowę jedną naznaczył cenę wróg...

Z oddziałów małych czasem tworzą się brygady!

Do kroków strzelców twardo wydzwania rytmy bruk,
Aż nagle legunowe kaszkiety zawadjackie,

Wykwitły na znak Tego, jak wiosną wśród zbóż mak,
Spłynęły krwią doliny i stoki podkarpackie,

Szaremi groby znaczył legjonów polskich szlak.

Lecz wkrótce zmilkły chwackie legunów Jego pieśni,

Zwarzone ostrym zgrzytém zawartych za Nim wrót.
Zbliżyły się cuchnące ohydą chwile w rzeźni,

I zawisł znów nad Polską kozacki ślepy knut.

Zdawało się, że próżno krew lali nasi strzelcy,

Że do wolności wiedzie szlak nie przez krew i trud!

Gdy nagle się porwali, jak mali tak i wielcy,

By razem z Nim to zdobyć, co nie dał żaden cud!

Napróżno milionowe ze Wschodu parły hordy,

Za Dniepr, hen, przepędzono mongolsko-ruską dziec.

Dziwili się Jankiesi i zimne, sztywne lordy,

Jak umie twardo chłostać młodziutki polski bicz...

A potem, gdy pokoju nadeszły ciche lata,

Gdy otwarł się przed Polską rozwoju bezmiar dróg,

Choć nikt Mu nie zarzuci, że nęci Go zapłata,

Ojczyzny szczęście w sercu, jak zawsze, niesie Ziuk.

W. R.

Chwila zastanowienia.

—o—

Żyjemy w niezwykle dziwnej i ciekawej epoce. W wirze mechanizacji współczesnej, elektryczności i motoru, w hałasie jazbandu i kina dźwiękowego, życie duchowe zepchnięte zostało na dalszy plan. Serca ludzkie dzisiaj nie są oceniane siłą uczuć, a stosunek do bliźnich nie mierzy się miłością, zaufaniem ani sumieniem. Dzisiaj mijamy człowieka, jakbyśmy przechodzili obok drzewa, kamienia, lub innego martwego przedmiotu. Pieńdz i wartości materialne stały się czynnikami decydującymi tak w życiu prywatnym jak i społecznym. Nikt dzisiaj nie myśli, nie zastanawia się, gdyż wszystko co żyje wokoło wrzeszczy na całe gardło „time is money”, ze szczególnem podkreśleniem słowa „money”. Dzisiejszy materializm niepodzielnie zapanował nad innymi, istotnymi wartościami człowieka. Żyje się dzisiaj bez najmniejszej wiary w przyszłość, bez określonego ideału i celu.

Z dziwną i zastraszającą szybkością i my, młodzież, daliśmy się opanować tym zgubnym wpływom. Zainteresowanie pracą

intelektualną osłabiło zupełnie, znikło również zainteresowanie się literaturą, poezją i sztuką.

Wszyscy dziś mówią i piszą o kryzysie materialnym, nie-liczne tylko głosy wspominają o bardziej niebezpiecznym, o kry- zysie życia intelektualnego. U nas, w Kurytybie, a szczególnie wśród młodzieży, kryzys ten jest jaskrawo widoczny. Jakże ma- ło u nas życia wewnętrznego, jak mało młodzieży, która myśli, zastanawia się... Widzi się prawie zupełny zanik myślenia, le- nistwo myślowe rozpanoszyło się wśród nas.

Porównując życie społeczne starszego społeczeństwa i mło- dzieży, nie trudno zauważyć, że młodzież dotychczas trwa w pół- śnie, w słodkiej beczynności. — Odrabianie „sabatin” i lekcyj — to jeszcze mało. Trzeba o czemś więcej myśleć, trzeba myśleć, bo myśl jest tylko potęgą, myśl jest wszystkim. Nie możemy żyć jak drzewka. Aby się zmusić do myślenia, trzeba pisać. Pi- sać o wszystkim, co nas interesować może. — Leży przed na- mi odłogiem całe pole. Musimy tworzyć własną literaturę, własne piśmiennictwo.

Warto się nad tem zastanowić.

Mam nadzieję, że cała młodzież, a szczególnie sarmacka, po mile spędzonych wakacjach na słodkim „dolce far niente” zabierze się do pracy nad rozbudzeniem życia intelektualnego w Stowarzyszeniu. Na kartkach „Sarmaty” starczy miejsca dla wszystkich.

A. Śliwiński.

Nagroda.

(Z cyklu nowelek amerykańskich Jana Ficińskiego).

W elegancko umeblowanym gabinecie Dr. Piotra huczało jak w ulu. Kilkunastu młodych ludzi, przeważnie studentów, dyskutowało zawzięcie, żywo gestykulując i przerywając sobie na- wzajem. Wszyscy mówili naraz, argumentując z zapalem swe zdania, to też nikt nikogo nie słuchał i trudno było pochwycić wątek dyskusji, jedynie rozognione twarze świadczyły, że temat musiał być bardzo interesujący.

Było to jedno z tych przesympatycznych przyjęć, które ogólnie lubiany przez młodzież i protektor wszelkich jej imprez, Dr. Piotr, urządzał raz na tydzień w swej podmiejskiej willi.

Tematy były dowolne i każdy z młodych miał sposobność wypowiedzieć się, oraz zastanowić nad jakimś zagadnieniem. Wy- borne ciastka i kawa, własnoręcznie przyrządzane przez p. Zofję, uzupełniały te miłe wieczorki.

Dr. Piotr zostawiał młodym zupełną dowolność rozmowy, i chyba tylko proszony o wypowiedzenie swego zda- nia, mieszał się do dyskusji, rozstrzygając ją przeważnie przyto- czeniem jakiegoś interesującego przykładu z życia na dany te-

mat. Zawsze też zachowywał swe zdanie na kulminacyjny punkt dyskusji.

To też w danej chwili, gdy wrzawa dyskutujących wyraźnie dowodziła o gorące pojedyńku zdań, Dr. Piotr zjawił się w gabinecie jak na zawołanie. Wysoki, wspaniale zbudowany mężczyzna; gęste włosy, przycięte sportowo i lekko srebrzące się siwizną; twarz czerstwa starannie wygolona; żywe, inteligentne oczy, energicznie wykrojone usta z wiecznym uśmiechem zatajonym w lekkim zagięciu kącików — wszystko to tworzyło pełen harmoniji typ dojrzałego mężczyzny, porywającego otoczenie promieniowaniem sympatji.

Po wejściu doktora wrzawa ucichła. Wszystkie oczy zwróciły się na niego.

— No i cóż tam nowego, chłopcy?

Wrzawa wybuchła ze zdwojoną siłą. Każdy z młodych starał się na swój sposób sprawę wytłumaczyć.

Dr. Piotr zasiadł na swym ulubionym fotelu, zapalił spokojnie papierosa i potem dopiero uciszył młodych.

— Cicho! Nie wszyscy razem. Felek opowiadaj ty, bo widzę, że ustać nie możesz. No!

Felek, wysoki blondyn, znany sportsmen i akademik inżynierji, odrzucił charakterystycznym ruchem głowy, czuprynę z czoła, potoczył tryumfująco wzrokiem po obecnych i odchrząknawszy, przedstawił sprawę.

— Rozmawiamy o sporcie, proszę Pana. Ja twierdzę, że sportowiec broniący honorów swego klubu, jest jakby żołnierzem w bitwie, to znaczy, że w chwili zawodów żadne postronne sprawy nie mogą na niego wpływać ani go absorbować. Oni zaś upierają się, że obowiązek żołnierza nie może się porównać z obroną sztandaru klubowego. Przecież w zasadzie to wszystko jedno, bo dla sportowca klub i zawody są miniaturą ojczyzny i bitwy, nieprawdaż? Analogja jest zupełna.

Dr. Piotr usadowił się wygodniej w fotelu i uśmiech jego zaakcentował się wyraźniej na widok oczekiwania i niepewności, odbijającej się na każdej twarzy.

Moji drodzy. Pozwólcie, że opowiem Wam przyjemny, może nawet jeden z najprzyjemniejszych fragmentów z mego życia. Moja opowieść będzie miała pewną łączność z waszą dzisiejszą dyskusją, więc będziecie mogli wyciągnąć z niej konkluzję. O! Akurat moja pani niesie nowy transport kawy. Usadówcie się więc wygodnie, gdzie kto chce, i posłuchajcie. A ty, Zosiu, może też zechcesz posłuchać bo... może ciebie to zainteresuje.

Pani Zofja zwróciła swą śliczną twarzyczkę blondynki do męża i pogroziła figlarnie paluszkciem.

— Ah ty niepoprawny. Znowu będziesz mi gości nudził.

Posypały się wesołe protesty. Pani Zofja szybko porzuciła kawę do filiżanek i usadowiła się na niskim taburecie koło męża. Doktor zapalił nowego papierosa, zaciągnął się i zaczął:

— Było to mniej więcej 15 lat temu. Wiecie, że zawsze byłem jak i jeszcze dziś jestem zapalonym sportowcem. Wtedy akurat zdałem ostatnie egzamina w uniwersytecie i szykowałem się do wielkich wyścigów motocyklowych, które miały zakończyć uroczystości rozdawania dyplomów. Sport motorowy zawsze był mým ulubionym i doprowadziłem go do niejakej perfekcji. To też koledzy z mojego Klubu Uniwersyteckiego pokładali wielkie nadzieje w moją maszynę i zręczność, tembardziej, że miałem bardzo groźnego konkurenta z Klubu Inżynierji, którego zręczność, odwaga i zimna krew stały się przysłowione.

Wielki dzień sportowy zbliżał się szybko i absorbował wszystkie umysły. Całe miasto mówiło tylko o różnych programowych zawodach i dzieliło się na dwie partje; jedna trzymała za naszym klubem, druga za klubem inżynierji. Zakłady szły grube. Entuzjazm wzrastał z każdą chwilą. No, bo też i program był wspaniały. Rano miały się odbyć wyścigi piesze na dystans 5000 mtr. Do tego wyścigu mieli stanąć biegacze z 3 klubów, t. j. medycyny, inżynierji i prawa. Nagroda: srebrny puchar dla klubu zwycięskiego i trzy złote medale dla pierwszych miejsc, z tem, że zwycięzca indywidualny biegu zdobędzie tytuł mistrza miasta. Po południu: futbol, baskat-baal, tennis i siatkówka, wszystko naturalnie o mistrzostwa.

Na zakończenie „clou” dnia: wielki wyścig motocyklowy na dystansie 50 klm. Nagrody: Klub—złoty puchar; zwycięzca — złoty wieniec miasta. Teraz muszę cofnąć się z opowiadaniem o kilka miesięcy wstecz. Otóż, mieliśmy na medycynie koleżankę w której cały uniwersytet, jak jeden, kochał się na zabój. Bo też i było w czem. Koleżanka ta była zachwycającą blondyneczką, żywą jak skra, sportsmenką pierwszej wody, towarzyszem najczystszej próby, czy to w pracy, czy w hulance... Nie rób min Zosiu, bo tak było. Zresztą „tempi passati”...

Gromki śmiech zebranych poparł żartobliwą dywersję w opowiadaniu.

Dr. Piotr zapalił zgasłego papierosa i ciągnął dalej.

— Najlepszym dowodem moich słów niech będzie fakt wybrania tej koleżanki jednogłośnie królową studentów, a było przecież kilkanaście innych koleżanek, którym nie można było wiele zarzucić. Jednem słowem, począwszy od pierwszorocznych smarkaczów a skończywszy na nas, poważnych absolwentach ostatniego roku, wszyscyśmy o niej myśleli.

Koleżanka ta jednak dla wszystkich była jednakowo dobrą i uprzejmą; może troszeczkę podczas balów i zabaw okazywała więcej względów mnie i pewnemu koledze z inżynierji. Była to różnica prawie niewidoczna dla oka profana. Dla nas jednak wydawała się olbrzymią i stawiała nas o całe niebo wyżej od kolegów, no i wywoływała między nami dwoma wieczne współzawodnictwo na każdym polu.

Dlatego też, gdy ja zapaliłem się do sportu motorowego, mój rywal naturalnie to samo, żeby nie zostać w tyle. I z tego powodu stał się moim najgroźniejszym konkurentem w wyścigach. A biorąc pod uwagę, że nagroda miała być własnoręcznie zwycięzcy doręczona przez naszą Królową i że zwycięzca na raucie zakończającym ten wielki dzień miał być jej „garçon d'honneur”, więc możecie sobie wyobrazić, jak nam na zwycięstwie zależało.

(D. c. n.)



Jak spędziłem wakacje.

Zwracamy uwagę Koleżanek i Kolegów na wiersz niżej umieszczony.

Jest on ostrą krytyką formy wyrażania się, niestety tak często słyszanej w naszych środowiskach.

Raz skończmy z tem! Dbajmy o czystość mowy polskiej!

Redakcja.

Droga minha amiga, kiedyś me pediste,
(A ja ci dałem wzamian słowo uroczyście),
By opisać ci w liście claro i sensato,
Jak spędziliśmy święta, karnawał i lato.
Comquanto tenha teraz pracy duży nawał,
Resolvi descrever-te ten cudny karnawał,
Który — ai! — já se findou, já se foi embora
I znowu przed oczyma szarego dnia zmora...

Então, posłuchaj miła: em fins de Dezembro
(Dnia dokładnie nie znaczę, bo já não me lembro),
Zjechałem do Herwalu, gdzie spokojnie żyją
Dwie stare moje ciotki e um velho tio.
Sądziłem tam, że będę miał aborrecimento,
Bo starych towarzystwo nie było przynętą
Para um rapaz novo e cheio de vida,
Któremu trzeba młodych, a panna się przyda.

Entretanto wujostwo, nada me dizendo,
Mimo, iż żyją skromnie i trudnią się wendą,
Zgotowali po cichu uma grande festa,
Żem dotąd nie ochłonął, fiquei quasi besta!
Dotąd jeszcze wspomnienie mi głowę zaprzęta
I chodzę jak pijany, com cabeça tonta!

Aż z dalekich pampasów, bo aż z Rio Grande
Wujostwo convidaram panien całą bandę.
Co jedna to ładniejsza, mesmo não se sabe,
Jak słowami opisać te stworzenia słabe,

Które za nos mię wiodły od pierwszego słowa,
Comquanto uma mulher não é coisa nova
Dla mnie, co już mam wprawę, mas o que tu queres?
Jakieś w tem były czary, czy inny interes,
Dość, że już tak bywało: czy to konno jadą,
Czy siedzą, spacerują, — fiquei seu creado!

Służba wprawdzie przyjemna, bo panny, jak łanie
E qualquer uma dellas za ułana stanie:
Skaczą, tańczą, pływają, montam a cavallo,
Nie patrzą, czy nie zmokną, czy na słońcu spalą,
Ze wszystkiego contentes e tudo lhes serve,
We wszystkim wykazują jednakową werwę.

Cavallos não faltavam, więc codzień odrana,
Gdy tylko deszcz nie padał, paczka nasza zgrana
Galopeava alegre numa gauchada
Pelas serras e campos. Potem z koni zsiada,
Zje byle co i szybko, descansa um pouco
I już skacze wesoło nad rzeczną zatoką,
By chłodzić zgrzane ciało, popływać jak korek.
Logo depois ciocia ma już podwieczorek:
Café, leite, manteiga, pecegos e uva,
Więc kompanja to wszystko z apetytem wsuwa.
I zaraz przeprowadza dyskusję zawziętą,
Jakie będzie wieczorem dziś divertimento?
Uns votam pelas prendas, outros pelo „Mico”,
Panny śmieją się z chłopców, prawie drą z nich łyko,
Estes się odcinają, gwar, śmiechy i hałas,
Widać błyszczące oczy e radiantes caras,
Até que Tio grita: „Dosyć, spać już dzieci!”
I ta paczka do łóżek śnić się nie rozleci.

Ás vezes tem um baile. Każde się więc krząta,
Para não fazer feio e estar na ponta.
W odświeżonych pięknych szatach e flôr na lapella
Stajemy w progu sali; gra tango kapela.
Moças nem borboletas já outras parecem,
Bo inne zachowanie, inny ruchów deseń;
Już to nie są kozaczki nem irmãos da ópa. —
To osy, co swem żądłem niejednego chłopca
Zdolne na śmierć ukąsić. Niby tańczy, hasa,
A przebija swym wzrokiem a maior couraça,
Jak torpeda; więc, chłopce, trzymaj serce ostro,
Poleć je Panu Bogu: „Deus, Padre nostro!”

Inny bal, — kostjumowy: a więc nasza panna
Jedna się przeobraża em linda cigana,
A outra transformada numa holandeza,
Chodzi, jak paw, po sali pod takt poloneza.

Aż oczy bolą patrzeć, w piersiach serce puka...
Pára, imaginação! — não sejás maluca!
Bal kończy się już późno; só na madrugada,
Każde wraca zmęczone i coś sennie gada
Po drodze, ale w domu szybko senność mija,
Bo wystąpi z kolacją querida Titia.
Jeszcze gadu i gadu, opróżniając misę,
Różne plotki, ploteczki, varios: „diz que, diz que”...
Nazajutrz znów od rana a mesma fuzarca,
Lecz banda już się dzieli: tu parka, tam parka,
Coś sobie poszeptują — mas eu sou discreto,
A dyskrecja jest wielką w stosunkach zaletą...
Para variar, às vezes se faz escapada:
A Titia prepara gallinha assada,
Bierze się piwo, wino, mięso et caetera,
Tuzin osób do auta kupą się zabiera,
Dla kompletu embarca até gramofone,
Poczem w cudną niedzielę bractwo rozbawione
Jedzie w góry dalekie, fazer piqui - niqui.
Tam dzień cały śpiew słysząc, śmiechy, chichy, krzyki,
A wieczorem wracamy umajonym wozem,
Który raczej porównam z cygańskim obozem.
Cruzes! co to za festa! que farra batuta!
Ja wrzeszczę w niebogłosy swym głosem koguta,
Panny piszcza, a Wujek wtórzy niskim basem,
Wracamy do Hervalu z tak wielkim hałasem,
Jakby Niemcy strzelali swoją grubą Bertą,
A naród staje e fica boqueaberto!
Prezada amiginha, se aqui estavas
Com tuas companheiras, nie ręczę i za was,
Czybyście w szal nie wpadły, w słodki szal wesela!...
Wieczorem po tem wszystkim, fomos á janella
Das sympathicas moças fazer serenata,
Instrumentów nie mamy, lecz niewielka strata,
Bo Victrola gra lepiej i ta, w ruch puszczona,
Zastąpiła artystów, que faltam na zona.
Tak się nam wieczór kończy, tak się dzień zaczyna,
Assim passam os dias todos — imagina!
Lecz że dni wesołości zwykle szybko jada,
Więc się skończył ligieiro ów sonho dourado!...
Ficaram só as cinzas i iskry w popiele...
Iskrą tą jednak z nikim się już nie podzielę;
Talvez para o anno, com esta faisca
Zatłą się suche drzazgi i płomień zabłyska...

Uczestnik wakacyj w Herwalu.

Dlaczego nie piszesz do „SARMATY”?

Mikołaj Kopernik.

Niepohamowana chęć poznania tajemnic niebios ciągnęła człowieka do wpatrywania się w otaczające go przestworza niebieskie i obserwowania ruchu tych „gwiazdek”, które jak dziś nauka wykazuje, są o kilkadziesiąt, a nawet kilkaset razy większe od naszej ziemi. Wiemy przecież, że nawet starożytne narody, jak: Egipcjanie, Grecy, Rzymianie i t. d. poświęcali sporo czasu, aby bliżej zapoznać się z ciałami niebieskimi. Brak jednak teleskopów, które zaczęto wyrabiać dopiero około 1608 roku uniemożliwiał im bliższe poznanie ciał niebieskich, z tego więc powodu zajmowali się więcej astrologją i uważali niektóre ciała niebieskie za bóstwa. Tak np. Egipcjanie czcili słońce, które nazywali Ozyrysem. Grecy czcili Jowisza — Zeusa — boga nad bogami, który z wysokości Olimpu ciskał piorunami na wszystkich tych, którzy zawinili. Rzymianie czcili Marsa, jako boga wojny.

Prawdziwa astronomia zaczyna się ze studjami Hiparcosa, astronoma greckiego, który zbudował, stworzył pierwszą astrolabie, studjował ruch księżyca, wymyślił trygonometrię i t. d. Za nimi idą inni astronomowie, również ludzie światli, lecz wszyscy zgodnie przyjmowali teorię, że ziemia zajmuje środek wszechświata, a naokoło niej krążą wszystkie ciała niebieskie, opisując koła.

Dopiero Mikołaj Kopernik, urodzony w Toruniu 1473 roku, ośmielił się sprzeciwić dotychczasowym mniemaniom. Jeżeli cofniemy się w stecz i uświadomimy sobie trudności różnego rodzaju, z jakimi musiał walczyć Kopernik, wypowiadając swą teorię, łatwo zrozumiemy, że tylko człowiek o bystrej inteligencji mógł w tamtym czasie dojść do tak, dziś zrozumiałego, dawniej absurdalnego spostrzeżenia.

Punktem wyjścia Kopernika była konstelacja Kłos Panny, na której obserwacjach oparł całą swą nową prawdę.

Ze względu na brak odpowiednich przyrządów zasługa Kopernika staje się jeszcze większą. Uzupełnił on trygonometrię, zaczęta przez Hiparcosa i napisał dzieło, składające się z sześciu tomów, w których objął całą swą teorię i objaśnienia niezbędnę do zrozumienia jej.

Śmiałe wystąpienie Kopernika, który ogłosił nową teorię, było herezją według mniemań kleru. Gdy wiadomość o nowej teorii doszła do Watykanu, Ojciec święty wysłał bulę z wyklęciem Kopernika, która spotkała go na łożu śmierci. Tego samego dnia zostało mu doręczone dzieło cennej jego pracy, które było wydrukowane w Niemczech.

Dlatego to przez czas dłuższy Polska i Niemcy wydzielali sobie wzajemnie przynależność narodową Kopernika.

Dopiero studja uczonych kilkunastu minionych lat wykazały na tle źródeł prawdziwych, że Kopernik był Polakiem. To twierdzenie zostało poparte przez pewnego uczonego niemieckiego, który po głębszych studjach przyszedł do tego samego przekonania. (Świat z roku 1925).

Kopernik oprócz tego, że był wielkim astronomem i Herkulesem myśli, który „wstrzymał słońce i ruszył ziemię”, zajmował się również studjowaniem wartości monety, był lekarzem i t.d.

Sama okoliczność, że Kopernik, duchowny ze stanowiska — pisze Franciszek Bujak — społecznego, prawnik kanonista z wykształcenia, a astronom i lekarz z zamiłowania, zajmował się obok inżynierji, kartografji, poezji i malarstwa także studjami monetarnymi, nie może dziwić nikogo, kto pamięta, że był to okres najbujniejszego Odrodzenia.

Stąd widzimy, że był to naprawdę wszechstronny umysł, zajmujący się zgłębianiem wszelkiej wiedzy i sztuki i rozumimy, dlaczego jego przynależność narodowa tak była wzajemnie sobie wydzieraną pomiędzy Polską i Niemcami.

Ozyrys Wielki.

—o—

Dawne wyścigi w sertonach.

Kilkanaście lat wstecz (nie będę wspominał dokładnej daty), kiedy herwa matte stanowiła pierwszorzędnny artykuł wywozu, a posiadacze herwali bogatszymi byli, panowało wielkie zamiłowanie do wyścigów, zwanych popularnie „careiras”.

Nie dziw też, że przy dobrych czasach i panującym dobrobycie, każdy fazender miał swego konia wyścigowego „parjera”, który przynosił mu lub zabierał z kieszeni spory zasób pieniędzy.

A dzisiaj? Choćby się pochwalić chcieli, to nie mogą, gdyż ledwo jadłem podzielić się mogą w swej licznej rodzinie.

Mądrzejsi włożyli kapitały w tartaki lub inne przedsiębiorstwa, chociaż takich jest niewielu, inni w podobnie lekki sposób, w jaki je zdobyli — spuścili.

Dlatego to nieraz przy tradycyjnej kujce szymaronu wyśpiewują przy akompanjamencie ulubionego „violão”, minione czasy kareiry, gdzie niejeden na „casiol” wygrywał, wylizując się z biedaka na bogacza i przeciwnie.

Nie było w owych czasach niedzieli bez „casiol” i kareirów. To też o zmroku widziało się na odludnych steczkach borów wracających do swych ognisk rodzinnych, pokaleczonych lekko, albo conajmniej z guzami na głowie miłośników tego sportu.

Jeżeli stawki były duże, to nie liczone się ze środkami, starano się jedynie o wygraną. Pewnego razu zdarzyło się, że przy

biegu jeden z koni wyskoczył z „raji” i znikł w lesie. Po pierwszym wrażeniu gromadka ludzi rozproszyła się po lesie w celu odszukania jeźdźcy. Po dłuższym szukaniu odnaleziono go pod grubą gałęzią imbuji z rozplataną czaszką.

Zaczęto więc dochodzić powodów, z jakich koń wyskoczył z toru. Nie mogąc nic znaleźć na „raji”, zaczęto oglądać konia, który, jak się okazało, miał łeb wysmarowany tłuszczem tygrysa. Widocznie rasowy parjero, zwęszywszy to, wystraszył się i zbiegł do lasu, zabijając nieszczęśliwego „jokeya”.

Odkryte oszukaństwo przyczyniło się do ostrej wymiany słów, a potem do ostrzejszych jeszcze strzałów, które spłoszyły widzów, a na „raji”, jak na arenie starego Rzymu, pozostały do dnia następnego dwa trupy.

W niedziele następną znów „careiry”. Widzowie czekali na występy nowych „valentonów” ale tych nie było, bo starzy już stracili życie, a nowi się jeszcze nie uwidocznili.

Dziś się już tego nie spotyka, tylko tu i ówdzie po lasach widzi się ludzi z bliznami na twarzach, które przypominają im dobre, a zarazem barbarzyńskie, minione czasy.

W. Grzeszczyszyn.

„Dekada Akademicka”.

Już od kilku miesięcy otrzymujemy regularnie, oprócz biuletynów Koła Opieki nad Akademikiem Polskim Zagranicą, „Dekadę Akademicką” — organ wymienionego Koła.

Polecamy Koleżankom i Kolegom to tak szczególnie dla nas pożyteczne pismo, streszczające w sobie dążenia Kolegów z Polski, którzy z naśladowania godnym zapałem pracują nad zrealizowaniem wzniosłych swych ideałów.

Czytając „DEKADE” — uczmy się kochać Polskę i światomie dla Niej pracować, nie szczędząc naszych młodych, zdrowych sił!

Za przesyłanie nam „Dekady Akademickiej” szczerze dziękujemy niniejszem Zarządowi Koła Opieki nad Akademikiem Polskim Zagranicą, oraz zapewniamy, że będzie ona przez nas jaknajusilniej rozpowszechniana.

Redakcja.

Nie zapominaj o Twoim obowiązku — pisz do „Sarmaty”!

WARUNKI PRENUMERATY:

Numer pojedynczy	\$500
Prenumata roczna (8 numerów)	4\$000
Prenumerata półroczna (4 num.)	2\$000